

PAKT

BRACIA **WINSLOW**

MAX
MONROE

Tytuł oryginału: The Pact (Winslow Brothers #2)

Tłumaczenie: Tomasz F. Misiorek

ISBN: 978-83-283-9374-5

Copyright © 2021 Max Monroe

Polish edition copyright © 2022 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/pakbw2>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

WSTĘP

Sobota, 6 kwietnia, Las Vegas

Flynn

Czterech braci Winslow w Vegas. Co mogłoby pójść nie tak?

Ha! *Praktycznie-kurwa-wszystko* może pójść nie tak, gdy trzech moich braci uznaje, że zakrapiany branczyk to świetny pomysł na rozpoczęcie dnia.

Jak dotąd ich pijackie grzechy ograniczyły się do zataczania się i zachowania odrobinę zbyt głośnego jak na gości kasyna wczesnym popołudniem, ale znałem ich od małego i doświadczenie podpowiadało mi, że lepiej zapiąć pasy, bo ten dzień skończy się chaotyczną jazdą.

Powiedział gość, który zawsze stara się być tym odpowiedzialnym i trzeźwym spośród braci.

— Która jest godzina? — zapytał Ty, ale szybko sam sobie odpowiedział, spoglądając na ekran swojego telefonu. — Jasna cholerka, dopiero południe?

Jude, wciąż w opasce, która zasłaniała mu oczy, parsknął znacząco.

— Moi kochani, to znaczy, że jest południe, a ja czuję się już dobrze zrobiony. Jak do tego doszło, nie wiem.

Omam nie wybuchnąłem głośnym śmiechem. *Jak do tego doszło, nie wiem?* No cóż, według mnie źródłem problemu były wielkie szklanki margarity, które ta trójka głupków radośnie opróżniała podczas brunchu. Nie wspominając o kolejkach tequili zamawianych przez Tya... Trzy, kurwa, razy.

— Z ust mi to wyjąłeś, braciszku — zgodził się Ty i wziął Jude’a pod rękę, niezgrabnie próbując przeprowadzić Pana Opaskę przez kasyno.

Fakt, że te błazny potrzebowały przyzwyczajenia, był tak oczywisty, że to aż bolało.

Niestety to ja nią zostałem, a odpowiedzialność za to ponosiła tylko jedna osoba: mój brat Jude. Ten sam drań, który postanowił się zakochać i żyć długo i cholernie szczęśliwie, poczynając od przyszłego miesiąca, kiedy to powie niesławne „tak” — do czego mnie nic w życiu nie zmusi, choćby się waliło i paliło — i wejdzie w związek małżeński z Sophie, swoją narzeczoną.

— Wszystko, co muszę wiedzieć — wymamrotał niewyraźnie Jude — to gdzie idziemy i kiedy mogę zdjąć tę opaskę?

Czy on z każdą chwilą robił się coraz bardziej pijany? Cholera.

Mój najstarszy brat Remy — aktualnie najmniej pijany — weschnął ciężko, co idealnie oddawało mój aktualny stan ducha.

— Jude, to ty założyłeś sobie opaskę na oczy.

— Co? — zaprotestował Jude, rozglądając się dookoła, choć przecież absolutnie nic nie widział. — Wcale nie!

— Tak, młody, tak zrobiłeś — oświadczył Remy, a w jego głosie ewidentnie słychać było zniecierpliwienie.

— Ja sobie zasłoniłem oczy? — prychnął Jude. — To nie ma żadnego sensu, braciszku.

No co ty, kurna, nie powiesz?

Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, dlaczego Jude upierał się przy tej opasce. To, co miało służyć jednorazowo, gdy zrobiliśmy mu niespodziankę lotem do Vegas, by uczcić jego nadchodzący ożenek, zamieniło się w stały element garderoby, który nosił w imię „dochowывania wiary” swojej narzeczonej, Sophie, niczym pas cnoty noszony na twarzy. Nie wiedziałem, dlaczego poruszanie się po kasynie hotelu Wynn przedstawiało jakiekolwiek ryzyko, ale też nigdy nawet nie udawałem, że rozumiem, co siedzi w głowie mojego najmłodszego brata.

W wyniku zaskakującego obrotu spraw zamienił się z playboya, u którego drzwi stała zawsze kolejka kobiet, w kogoś, kogo niektórzy nazywali „pantoflem”, czyli faceta zakochanego po same uszy w przyszłej żonie. Może nie jestem typem gościa zainteresowanego związkami, małżeństwem i całym tym szajsem, ale nie mogę zaprzeczyć, że mój mały braciszek był stuprocentowo zaangażowany w związek z Sophie.

Tak bardzo zaangażowany, że oświadczał się jej czterokrotnie, zanim powiedziała „tak”.

Cztery pieprzone oświadczyły. Jeśli to nie świadczy o zaangażowaniu, to kopnijcie mnie w jaja i nazwijcie najbardziej szalonym spośród braci Winslow.

Jude zbył tylko śmiechem słowa Rema, wciąż nie zdejmując idiotycznej opaski, po czym wymamrotał coś, co najwyraźniej usłyszał tylko Ty.

— *Proooszę* — skomentował Ty za moimi plecami, zanosząc się od sarkastycznego śmiechu i na równi z Jude’em chwiejąc od nadmiaru gorzkości. — Remy pewnie spędza większość czasu, fantazjując o sprawianiu, by kobiety wyglądały jak ciastko z lukrem.

Jude zarechotał, a Remy odwrócił się i popchnął Tya w ramię.

— Aua! — zaprotestował Ty teatralnie. — Za co to było?

— Za wygadywanie o mnie głupot, których nie rozumiem i chyba nawet nie chcę zrozumieć.

Moje brwi się uniosły, a wargi wykrzywił lekki półśmiejch. Wiedziałem dokładnie, o czym Ty mówił — choć cholernie nie chciałem wiedzieć — i na jego miejscu napisałbym osobiste podziękowania dla Pana Boga za to, że Remy wykazał się dość nieoczekiwaną niewinnością, przy okazji wspominając o wymazaniu wszystkich przyszłych i przeszłych przewinień. Mogłem zagwarantować, że gdyby Remy wiedział, o czym naprawdę mówił Ty, miałbym na głowie nieplanowaną wizytę z braćmi w szpitalu. Nie wiem, co jest z Tyem i alkoholem, ale zmieszanie tych dwóch składników skutkuje pojawieniem się jednego

z najbardziej nieprzyzwoitych mężczyzn na tej planecie. To było niemal chorobliwe.

Aktualnie był to nasz trzeci dzień przedłużonej imprezy kawalerskiej najmłodszego brata i jak dotąd zniosłem ponad czterdzieści osiem godzin pijackich wybryków, pełnych chaosu nocnych klubów i klejących się do nas striptizerek.

Nie zrozumcie mnie źle. Byłem więcej niż zadowolony, mogąc świętować razem z Jude'em. Po prostu wolałbym nie musieć w tym celu przebywać w samym środku nieznośnego dla mnie klimatu nocnych klubów Las Vegas.

Osobiście zdecydowanie preferuję spokojniejsze otoczenie. Luźną atmosferę. *Trzeźwych* ludzi. I choć należę pewnie w tej kwestii do mniejszości mężczyzn, kluby ze striptizem nigdy mnie nie pociągały. Po prostu wolę, gdy takie sprawy pojawiają się naturalnie, bez pieniędzy, napiwków i pieprzonych prywatnych tańców do piosenek, dzięki którym *Magic Mike* stał się kinowym hitem.

I właśnie dlatego Ty nie powinien być odpowiedzialny za planowanie tego weekendu.

Każdy mądry po szkodzie, co?

Można by pomyśleć, że skoro wszyscy bracia Winslow przekroczyli cholerny trzydziesty piąty rok życia, wycieczka do Vegas nie będzie jednym wielkim cyrkiem, ale cóż, nie dało się jej nazwać inaczej.

Szczerze mówiąc, po dwóch dniach znoszenia wybryków moich braci sam nie wiedziałem, co mnie skłoniło, żeby towarzyszyć im trzeciego dnia. Gdybym miał choć trochę oleju w głowie, wyprowadziłbym swój motocykl i zostawił ich samych z problemami, nie oglądając się za siebie.

Co prawda tak jak reszta moich braci i młodsza siostra, Winnie, mieszkalem i żyłem w Nowym Jorku, ale, cholera, miałem też dom położony jakieś dwadzieścia minut drogi od Strip w Vegas. Dzięki temu mogłem

bez trudu odłączyć się od towarzystwa na kilka godzin, żeby odzyskać trochę poczytalności.

Ale nie, byłem tu razem z nimi, w samym środku cyrku. Przez moją miłość do tych klaunów czasami doznawałem uszczerbku na zdrowiu psychicznym.

Prowadząc za sobą pijanych, zataczających się i rechoczących braciszków, podszedłem do stolika, który wyglądał najbardziej obiecująco, dookoła niego panowało podniecenie i błyskały światła kasyna. Podsunąłem krupierowi chyba więcej banknotów, niż powinienem był, i usiadłem. Ty kilkakrotnie próbował, nim w końcu też usiadł na krześle, co wytrąciło Jude'a z równowagi. Kompletnie zdezorientowany wreszcie zdjął opaskę i włożył ją do tylnej kieszeni spodni.

Prychnąłem i potrząsałem głową, gdy usiedli przy mnie i zaczęli przeczesać kieszenie, szukając pieniędzy, które mogliby postawić. Na ich nieszczęście opróżniłem te kieszenie zaraz po tym, jak zobaczyłem, że wychylają trzecią kolejkę tequili o cholernej jedenastej rano, zdając sobie sprawę z tego, jak mocno ucierpi u nich zdolność trzeźwego myślenia w miarę upływu czasu.

— Do diaska — sapnął Ty, wywracając kieszenie na drugą stronę i wyciągając z nich cienki, biały materiał. — Przysięgłbym, że miałem w nich jeszcze trochę sztosów, eee, sztonów.

Rzuciłem krupierowi spojrzenie mówiące: „Proszę ich zignorować”, a jego brwi tylko lekko się uniosły, gdy wziął moje pieniądze i w zamian podsunął mi kupkę sztonów. Jude natychmiast sięgnął, żeby kilka z nich zwędzić dla siebie, ale trzepnąłem go w rękę jak matka w Święto Dziękczynienia broniąca świeżo wyciągniętego z piekarnika indyka.

Remy się roześmiał.

— Ooo! ODMOWA!

Odchrząknąłem i cała trójka prześmiewczo wyprostowała się na swoich siedzeniach.

— Chłopaki, chyba Flynn daje nam znać, że mamy się zachowywać — powiedział Jude swoim normalnym, jowialnym głosem. Mimo ich prowokacji nie mogłem się powstrzymać przed tym, żeby nie uśmiechnąć się kątem ust na widok tego, jak próbowali spełnić moje niewypowiedziane życzenie.

Puściłem każdemu pięćsetdolarowego sztona, starannie celując. Jude i Remy praktycznie zwalili się na stół, próbując je złapać i dając znaki, by krupier dołączył ich do gry, natomiast Ty wziął swojego i ostrożnie, niemal metodycznie wsunął go do kieszeni.

— Nie grasz, Ty? — zapytałem powoli niczym rodzic pytający dziecka. To był tak naprawdę jedyny skuteczny sposób rozmawiania z ludźmi na tym etapie upojenia.

— Nie. Oszczędzam na coś wyjątkowego.

Skinąłem głową. Jak dla mnie w porządku. Gdy grupa się uspokoiła, krupier zaczął zonglować kartami.

Nie mam żyłki hazardzisty i nie przepadam za podejmowaniem ryzyka, gdy szanse są przeciw mnie, ale mając do wyboru w ten weekend zabawę w klubach albo granie w karty, w ciemno wybieram oczko. Znałem tę grę, wiedziałem, jak w nią grać, i miałem o dziewięćdziesiąt dziewięć procent mniejsze ryzyko bycia nagabywanym przez jakąś obcą, napaloną cipkę. A dodatkowo moi bracia przynajmniej starali się jakoś zachowywać przy stoliku, żeby ich nie wyrzucono z kasyna.

Jeśli miałbym być zupełnie szczery, przyznałbym, że potrafię też liczyć karty na tyle, by z grubsza wiedzieć, co jeszcze może znajdować się w taliach krupiera. Dzięki temu mógłbym częściej wygrywać, ale to Vegas i podobnie jak większość ludzi — zdawałem sobie sprawę, że liczenie kart jest tu nielegalne.

Co, jeśli oficjalnie przyznasz się, że liczysz karty? Możesz już się szykować na to, że zabiorą cię do pokoju bez okien, gdzie poćwiczysz mieszane sztuki walki z kilkoma napakowanymi kolesiami na sterydach z ochrony kasyna.

Krupier pokazał ósemkę kier, a ja dwie dziesiątki, jedną pik i jedną karo.

Strategia gry w oczko kazała mi trzymać pozycję na mocnych dwudziestu punktach.

Niektórzy mogliby pomyśleć, że rozdwojenie ręki byłoby dobrym pomysłem, ale dam wam dobrą radę i powiem, że rozdwojenie ręki przynosi tylko hazardowego pecha i niemal zawsze kończy się utratą pieniędzy. *Mnóstwa* pieniędzy, jeśli będziecie iść na całego w oba zestawy kart.

Reszta moich współgraczy — w tym dwóch braci biorących udział w grze — pokazała swoje karty. Remy i Jude postanowili trzymać osiemnastkę i dziewiętnastkę, jakiś facet ze złotym sygnetem przestrzelił, dobierając siódemkę do ładnej szesnastki, a ostatni, starszy gość w czapeczce Jankesów wyglądający, jakby grał bez przerwy od trzech dni, trafił znienacka oczko po tym, jak dobrał siódemkę pik do waleta kier i czwórki trefl.

Krupier pokazał swoje karty i dziesiątkę, co oznaczało, że ja z dwudziestką wygrałem, a Remy i Jude wyszli na zero. Ogólnie wyszliśmy na swoje, kasyno niekoniecznie.

Dalej gra toczyła się w podobny sposób. Facet, który miał furę w pierwszym rozdaniu, przestrzelił jeszcze w trzech z pięciu kolejnych. Gość w czapeczce ryzykował w typowych układach, co ostatecznie przynosiło mu korzyści. A ja opierałem swoje decyzje na statystycznych szansach wyciągnięcia kart, dzięki czemu kupka moich sztonów rosła.

Gdy kolejny gracz dosiadł się do naszego stolika, krupier przerwał na chwilę, by przyjąć sztony, a ja rozsiadłem się wygodnie, podczas gdy reszta uprawiała niezobowiązujące pogaduszki, opowiadając, skąd są, jakie mają plany na wieczór i które kasyno ma najlepszy bufet. W sumie była to czcza gadanina, w której nie miałem najmniejszej ochoty brać udziału.

Zdecydowanie nie jestem gościem, który lubi sobie pogadać.

Z boku mignęła mi rozwichrzona grzywa jasnobrązowych włosów i poczułem się zaintrygowany. Wzmiankowana właścicielka loków była drobną kobietą ubraną w dżinsy, białe adidas i biały T-shirt, odsłaniający skrawek płaskiego brzucha. Wyglądała na mniej niż trzydzieści lat i wszystko w jej wizerunku idealnie do siebie pasowało, łącznie z białymi walizkami na kółkach, które za sobą ciągnęła.

W pierwszym odruchu dałem jej minusa. To perfekcyjne zestawienie było sygnałem ostrzegawczym przed uciążliwą drobiazgowością i niemożliwymi wymaganiami wobec każdego spotkanego mężczyzny. Wyglądała na taką, która oczekuje kosztownych prezentów i pięknych słówek, a żyje na jedzenie na kanapie, nawet przekąsek.

— Ech, cholera — zawołał Jude, rzucając karty na stół i przerywając moje obserwacje. — Ta ręka jest warta tyle, co para starych, obwisłych jajec.

Ty parsknął śmiechem i odchylił się na krześle, a gdy zachwiał się na nim niepewnie, Remy palnął go w plecy wyprostowaną ręką, popychając do przodu na stół. Nozdrza krupiera zaczęły zdradzać zniecierpliwienie.

— Przepraszam — powiedziałem za nich, choć wątpiłem, by pijani idioci byli czymkolwiek nowym dla kogoś, kto pracuje w kasynie przy Strip w Las Vegas. — Nie zostali właściwie ułożeni w szczenięcych latach.

Udobruchany na tyle, by nie wzywać ochrony, krupier wydał z siebie długie westchnienie i wrócił do swojej pracy, a moje spojrzenie ponownie powędrowało w stronę kobiety z niesfornymi lokami. Wydały się żyć własnym życiem, niezależnym od właścicielki.

Gdy tak ciągnęła za sobą dwie mniejsze walizki, w pewnym momencie jej oczy spoczęły na automacie do gry i zrobiły się wielkie z podniecenia.

Natychmiast jej krok nabrał sprężystości, pośpieszyła do pustego miejsca i usiadła przed maszyną ozdobioną złotymi światełkami i wizerunkiem bizona, a po paru chwilach zaczęła ją karmić monetami.

Gdy zaświecił się wielki ekran, niecierpliwie zastukała palcem w jeden z przycisków, by podać stawkę dla pierwszej gry.

Patrzyłem na nią, marszcząc brew, i niemal podskoczyłem w miejscu, gdy po uruchomieniu automatu zaklaskała i głośno zawołała:

— Jedziemy!

Była tam zupełnie sama, nikt się nią nie interesował, ale zachowywała się tak, jakby wszyscy patrzyli tylko na nią. To było coś zupełnie innego, niż się po niej spodziewałem. Nie wydawała się już taka wyrafinowana, sztywna ani przejęta tym, jak wypada w oczach innych.

Szczerze mówiąc, ta kobieta była jak powiew świeżości.

Ponownie stuknęła w guzik i podniosła na chwilę ręce, kibicując maszynie:

— Dalej, bizona! Lecicie! Ruszcie te swoje włochate tyłki i pokażcie mi kasę!

Osobiście nie cierpię jednorękich bandytów. To największe pożeracze pieniędzy, przy jakich mogą usiąść ludzie wchodzący do kasyna, i gdybym był facetem, który swoje emocje prezentuje publicznie, pewnie kręciłbym teraz głową, widząc jej ślepy entuzjazm wobec tej głupiej gry.

Ale przecież to ten sam entuzjazm, który sprawia, że lekko się uśmiechasz...

— Tak! Tak! *Taaak!* — Długie, niesforne loki tańczyły na jej plecach, gdy ona tańczyła na krześle. Wielki ekran się rozświecił, a z głośników zaczął dobiegać zaśpiew „Bizona!” wraz z głosem galopującego stada.

Gdy usłyszałem, jak facet siedzący o dwie kolejki ode mnie mówi krupierowi: „Jeszcze”, szybko przeniosłem spojrzenie na pokryty sukrem stół. Przeliczyłem karty krupiera, swoje i reszty uczestników, ale moją uwagę znowu przykuł przekłęty jednoręki bandyta, a przy nim kobieta, która coś wołała, skakała w miejscu i pokazywała zaciśniętą pięścią gest zwycięstwa.

Znajdujący się przed nią wielki ekran świecił się podczas czegoś, co wyglądało jak runda dodatkowa, a inni odwiedzający kasyno o tak wczesnej porze zaczęli się zatrzymywać przy maszynie z bizonami, żeby popatrzeć sobie na spektakl, jaki dawała kobieta.

Spektakl, który kompletnie przykuł także twoją uwagę.

Zachowywała się teatralnie, ale nie mogłem zaprzeczyć temu, że jej konsekwentnie entuzjastyczne reakcje nie rozczarowywały. Cholera, sam się z tego zaśmiewałem. Przynajmniej w duchu.

Jej pukle podskakiwały na plecach, gdy ona się kręciła, kibicowała i nawet przybijała piątki przypadkowym przechodniom i obsłudze kasyna.

— Proszę pana? — Krupier przy moim stoliku zwrócił się do mnie, a gdy na niego spojrzałem, zrozumiałem, że oczekuje mojego kolejnego ruchu. Szybko oceniłem karty: król kier i kolejna dziesiątka. A potem zobaczyłem, że krupier ma na stole dziewiątkę.

— Wystarczy — uznałem i kolejka przeszła do Remy'ego.

Ale moje oczy znowu powędrowały do tej głupiej jak kilo gwoździ maszyny, przy której wciąż podskakiwała z radości najszcześniejsza kobieta w całym Vegas. Ty, który siedział naprzeciwko, złapał moje spojrzenie i powędrował za nim, by dostrzec obiekt mojego zainteresowania.

Ledwo zwracałem uwagę na resztę rozdania, nawet na moich braci robiących hałas, gdy okazało się, że przebiłem karty krupiera, a on podsunął mi kolejne sztony.

Zdając sobie doskonale sprawę z tego, że dekoncentracja nie pasuje do gry w oczko, chyba że bardzo chcemy stracić pieniądze, uznałem, że trzeba się wycofać.

— *Choolera*, śliczna jest — zamruczał głośno Ty.

Zakładałem, że zamierzał zachować ten komentarz dla siebie, ale ilość alkoholu, jaką w siebie wlał, nie sprzyjała kontrolowaniu tonu głosu. Remy odwrócił się powoli, by też spojrzeć, a Jude w dramatycznym geście zasłonił oczy, zawodząc:

— O nie, nie, nie! Ja nie patrzeć na piękna kobieta!

Bez ostrzeżenia Ty poderwał się z miejsca, potrącając niegrzecznie stół. Mogłem niemal dostrzec, jak macha ogonem, gdy ruszył przez kasyno w stronę kobiety przy jednorękiim bandycie.

Oho, zaczyna się...

Remy spojrzał na mnie z głupkowatym uśmiechem, a ja skinąłem głową, wzdychając. Zgarnąłem Jude'a z krzesła i sam wstałem, by podążyć za naszym ogarem w stronę burzy niesfornych loków.

Niech Bóg ma nas w swojej opiece, bo potrafiłem sobie wyobrazić, co będzie wyprawiał.

* * *

Daisy

Chyba zakochałam się w Vegas.

Pewnie to dlatego, że dopiero co dotarłam do Miasta Grzechu i nie zdążyłam się jeszcze nawet zameldować w hotelu, a Pani Fortuna już się do mnie uśmiechnęła. Błysnęła perełkami, potrząsnęła obfitym biustem i powiedziała mi, że ze wszystkich dziewczyn na świecie to ja mam największe szczęście do automatów.

— Bizony! Runda bonusowa! — śpiewała moja maszyna, gdy ja z entuzjazmem patrzyłam, jak świeci się ekran, a wielkie koło kręci, dodając kolejne dolary do mojego konta.

Technicznie rzecz biorąc, byłam tu w pracy, a nie dla przyjemności, ale, *kurka wodna, to było fantastyczne!*

Normalnie nie przepadam za hazardem i nie miałam pojęcia, co sprawiło, że zatrzymałam się przy tym automacie w drodze do pokoju, ale rany, cieszyłam się, że to zrobiłam.

Moje uszy wypełnił huk kopyt przebiegającego stada, gdy wygrałam jakiś potrójny bonus, a ekran wypełnił się bizonami. Prawdę mówiąc,

nie miałam pojęcia o tej grze. Nie wiedziałam, co to wszystko oznacza ani dlaczego wygrywam, ale gdy spoglądałam na stan swojego konta, widziałam tylko cyferki, coraz wyższe i wyższe.

— Iiihaaa! — zawołałam i odtańczyłam kowbojski taniec wokół krzesła. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam, jak ktoś z obsługi kasyna opróżnia kosz na śmieci, więc zmusiłam go, by przybił mi piątkę.

Ponieważ wyglądałam jak wariatka albo skacząca dookoła szalona zjawą, facet był tym faktem nieco zaskoczony, choć ostatecznie obdarzył mnie nawet lekkim uśmiechem.

— Życzę pani dalszego szczęścia — powiedział i usunął się w głąb kasyna, oddalając się ode mnie i mojego szczęśliwego automatu.

— Jasny szlag, nie mogę w to uwierzyć — wyszeptalam do samej siebie i zmusiłam się, by znowu usiąść przy maszynie i spojrzeć, jak kończy się naliczanie mojego bonusu i podliczanie wygranej.

Na samym środku widniało: **135,13 \$ Fantastyczna wygrana!**

Jakoś tak się stało, że wrzuciłam w ten automat dwudziestkę, a wygrałam ponad sto dolarów.

Viva Las Vegas, kochana!

Adrenalina płynąca w moich żyłach sprawiła, że zrozumiałam, dlaczego ludzie tak kochają Vegas. Wystarczy spojrzeć na mnie, ledwie wysiadłam z samolotu, którym przyleciałam z Los Angeles, a już oficjalnie stałam się zwyciężczynią.

Teraz jednak pozostawało odpowiedzieć na ważne pytanie: czy powinnam zostać, czy powinnam już iść?

Czy grać dalej? Albo może zabrać wygraną i pójść do pokoju, by wziąć prysznic i się przespać, zanim będę musiała przyszykować się na służbową imprezę, która mnie tu czekała?

No wiesz, właśnie przyleciałaś porannym lotem z Los Angeles i prawdopodobnie pachniesz potem i czerstwymi precelkami...

— Nie rozpędzaj się za bardzo — powiedział za moimi plecami jakiś mężczyzna, na co natychmiast odwróciłam głowę. Był ewidentnie

ładniutki, miał czuprynę jasnobrązowych włosów i wielki uśmiech, ale szkliste spojrzenie zdradzało od razu, jak bardzo był pijany. — Uwier mi, Fortuna uwielbia kopać po jajach zbyt śmiałych sukinsynów. Wiem to doskonale, bo jestem jednym z nich.

Po tych słowach nastąpił głośny śmiech ze strony dwóch obrzydliwie atrakcyjnych facetów, którzy mu towarzyszyli, a z których jeden w dziwny sposób zasłaniał sobie oczy dłonią.

— Ty — odezwał się jeden z nich, ten z ciemniejszymi włosami. — Przestań nagabywać ludzi.

— Kogo nagabuje? — zapytał ten zakrywający oczy, za co został skarcony klepieniem w tył głowy przez ciemnowłosego.

— Po prostu odsłoń oczy, Jude. Jestem praktycznie pewien, że Sophie była świadoma tego, że możesz coś zobaczyć. Nie zdradzasz jej w ten sposób, do jasnej cholery.

— Sophie to bogini — powtórzył następnie, sprawiając, że po raz pierwszy od rozpoczęcia tej rozmowy uśmiechnęłam się szeroko. Wszyscy byli kompletnie zawiani, co powinno wywołać u kobiety zrozumiałe obawy, ale równocześnie byli zabawni, co przyjmowałam jako dobry znak.

Być może fakt, że trochę się rozluźniłam, sprawił, że kompletnie zaskoczyło mnie, gdy podszedł do nas czwarty mężczyzna. A może stało się tak po prostu dlatego, że wydawał się inny niż pozostali.

Jego mocna szczeka, oczy o barwie głębin błękitnego oceanu, idealnie niepokładane ciemne włosy oraz ciało wyglądające na wysportowane i gibkie pod dzinsami i białą koszulą sprawiały, że ani jedna moja komórka nie czuła się zagrożona jego obecnością.

Zainteresowana uniosłam brew, spoglądając w jego kierunku, i zwróciłam się do pierwszego z nich, tego zabawnego, który, jak właśnie się dowiedziałam, miał na imię Ty:

— Czyli... radzisz mi, żebym wzięła wygraną, zanim automat mnie jej ze szczętem pozbawi?

Pan Małomówny pozostał milczący, ale mogłam przysiąc, że kąciki jego ust niemal się uniosły.

— Właśnie tak — odparł Ty nieco zbyt głośno, zważywszy na to, jak blisko siebie staliśmy. — Nieważne jednak, co postanowisz — ciągnął dalej, wkładając mi do ręki czarnego sztona. — Jest moim patriotycznym obowiązkiem dopilnować, abyś wyszła stąd jako zwyciężczyni.

— Patriotycznym obowiązkiem? — zapytałam, ale on tylko do mnie mrugnął. Jego pijani towarzysze wybuchnęli śmiechem, ale moje spojrzenie ponownie powędrowało w stronę czwartego, tego, który jak dotąd nie odezwał się ani razu.

Spojrzałam na trzymany w ręce szton. *Kurka wodna. Pięćset dolarów?* Zdecydowanie wyglądało na to, że Fortuna nie ma najmniejszego zamiaru kopać mnie dziś po jajach.

— Rany. Dziękuję! To bardzo hojny podarunek i nie jestem pewna, czy mo...

— Jak najbardziej możesz — przerwał mi mężczyzna ze swadą i uśmiechem. — Nie płacę ci za seks ani nic takiego. Spełniam tylko patriotyczny obowiązek. — Podkreślił te słowa, salutując mi, jakbym była oficerką w mundurze, co sprawiło, że nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam śmiechem.

— Jezu — westchnął ciemnowłosy z irytacją, łapiąc Tya za ramię i odciągając go na bok. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, na jego twarzy pojawił się przeproszający uśmiech. — Chciałbym powiedzieć, że zwykle się tak nie zachowuje, ale szpetnie bym skłamał.

— Remy mówi prawdę — zgodził się Ty z pijackim grymasem. — Zawsze mam taki odparty urok.

— Odparty? — Jude, facet, który cały czas zasłaniał oczy, wybuchnął śmiechem. — Może i jestem ślepy, ale coś mi się widzi, że wybrałaś niewłaściwe słowo.

— Nie, sądzę, że w tym przypadku pasowało idealnie — dopowiedział z szerokim uśmiechem Remy, najwyższy i nie do końca jeszcze pijany członek grupy.

Jak dotąd, w toku tej zwariowanej rozmowy, w której uczestniczyłam tylko częściowo, zorientowałam się, jak mają na imię trzej spośród czterech mężczyzn: Ty, Jude i Remy.

Co tylko sprawiało, że tym bardziej byłam zaintrygowana najmniej wylewnym z całej grupy. Nie odezwał się jeszcze ani słowem, ale w jakiś sposób jego obecność była niemożliwa do przeoczenia. Emanował pewnością siebie, nie odzywając się w ogóle ani nie okazując żadnych emocji. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu byłam nim przez to jeszcze bardziej zaintrygowana.

Już otwierałam usta, by zapytać go o imię, ale zuchwały prowodyr i ofiarodawca sztona pokłonił mi się głęboko, mówiąc:

— Moja pani, pozwól, że opuścimy twoje towarzystwo.

Dwaj pozostali zaczęli się śmiać, ale po milczącym goście czwartego rosnącego towarzysza odwrócili się i odeszli, lekko się przy tym zataczając.

Bez słowa wyjaśnienia Pan Tajemniczy i jego drużyna po prostu... zniknęli.

Nie mam pojęcia, co tu się właśnie wydarzyło, ale zważywszy na fakt, że ostatecznie dzięki temu wzbogaciłam się o pięćset dolarów, może powinnam częściej przyjeżdżać do Vegas.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

NIE ZAWSZE TO, CO WYDARZYŁO SIĘ W VEGAS, ZOSTAJE W VEGAS!

Flynn, jeden z czterech braci Winslow, był milczącym przystojniakiem o stoickim usposobieniu. Roztaczał wokół siebie aurę tajemnicy. Uwielbiał jeździć harleyem, co dodawało mu niepokojącego uroku. Zawsze wyglądał olśniewająco, nawet po czterdziestu ośmiu godzinach szalonej pijackiej imprezy w Vegas urządzonej z okazji ożenku jego najmłodszego brata. Tamtego dnia właściwie nie chciał w niej brać udziału – od szaleństw, klubów ze striptizem i kasyn od zawsze wolął spokój.

Kanadyjka Daisy Diaz przeprowadziła się do Los Angeles, by pracować w jednej z najbardziej prestiżowych firm z branży nieruchomości. Była utalentowaną dekoratorką wnętrz, a poza tym wystrzałową pięknoscią z ognistym temperamentem. Praca w EllisGrey miała być jej przepustką do kariery. Dlatego chętnie pojawiła się na imprezie firmowej w Vegas. I właśnie wtedy otrzymała koszmarną wiadomość. Czy to z powodu pomyłki, czy własnego roztargnienia jej marzenia zawisły na włosku. Potrzebowała pilnego ratunku.

Niespodziewanie tym ratunkiem okazało się małżeństwo zawarte w Happy Chapel. Ceremonię poprowadziła transseksualistka przebrana za Marilyn Monroe, a mężem Daisy został nie kto inny, jak tajemniczy przystojniak Flynn Winslow. Oczywiście nie było w tym nic romantycznego. Flynn zgodził się na ten układ z prostego powodu: nie chciał mieć prawdziwej żony. A Daisy desperacko pragnęła zachować prawo do pracy w Stanach. Była gotowa nawet przeprowadzić się do domu Flynn'a.

Plan idealny. Ale aby się powiódł, Daisy musiała spełnić jeden warunek: nie zakochać się we własnym mężu...